

PRZEISTOCZENIE

Leon Durka

Leon Durka

PRZEISTOCZENIE

Warszawa 2021

OD AUTORA

Książkę tę powinno się przeczytać dwa razy. Po raz pierwszy, aby podążając za wartką fabułą, przeżyć niesamowitą przygodę w środku syberyjskiej zimy. Po raz drugi zaś, aby lepiej zrozumieć akcję i zagłębić się w proces zmian, które przechodzą bohaterowie.

Po przeczytaniu powieści przez moich przyjaciół, prawie wszyscy oni poprosili mnie o definicję „demona”. Trzy owe stwory przewijają się przez tekst, a ich zadaniem jest kuszenie głównego bohatera, co w konsekwencji ma spowodować go na złą drogę.

Kiedy wyjaśniłem, że demon, jest czymś, co ze względu na własne słabości, sami powołujemy do życia, doznali zawodu. Straciłem kolejne punkty, gdy przyznałem się, że dwaj rywalizujący o wpływy aniołowie, to także tylko moja fantazja – nie mogłem ujawnić, że pewnej nocy, kiedy wracałem do domu, przypadkiem natknąłem się na jednego z nich...

Pozostali bohaterowie są z krwi i kości:

✓ nieobliczalny konstruktor, który zapragnął przelecieć pół świata, aby zrealizować własne wyobrażenie o istocie bytu

✓ silny, zmagający się z losem kowal

✓ ksiądz, który za wszelką cenę stara się posprzątać zakrystię

✓ świniopas – hodowca świń z leśnej głuszy

✓ prymitywny, żywcem wyjęty z poprzedniej epoki milicjant

✓ starowinka – pełna radości, pokory i prostoty mieszkanka Jakucji.

Prawdziwe są również, opanowane obłędem wilki, miecze, pojedynki. W końcu rzeczywisty jest lokalny biznesmen i jego przeszłość.

Jeżeli ktokolwiek z was nie zaznał surowego dotknięcia zimy, smaku parowanych ziemniaków, zapachu samogonu zmieszanego z wonią żywicy ściętych drzew, będzie miał okazję (o ile nieco wyostrzy swoje zmysły) doznać nowych wrażeń: zobaczyć dźwięki i usłyszeć kolory... To nie tylko kwestia wykorzystania potencjału abstrakcyjnego myślenia, ale także odrzucenia od siebie wypracowanych przez życie stereotypów.

W sferze emocji nie znajdziemy w powieści żadnych nowości. Strach, lęki, ekscytacja, radość i smutek. Tak, jak w codziennym życiu. Typowe ludzkie zachowania: chęć zwrócenia na siebie uwagi, zemsta, podjęcie nierównej walki, śpiew, który zastępuje rozmowę, przystosowanie się do warunków, czyli mimikra – rewelacje na miarę pospolitych wiadomości w podrzędnej gazecie. Bardziej fascynujące są niektóre przedmioty: kowadło, samowar, sanie, bukowe narty, czy pomalowane na zielono drzwi w chałupince staruszki. Przedmioty są jednakże tłem akcji, nie warto więc na dłużej się nad nimi zatrzymywać.

Książkę tę powinno się przeczytać dwa razy. Po raz pierwszy, by dostrzec przeistoczenie. Po raz drugi, aby upewnić się, że nic takiego nie nastąpiło...

Życzę przyjemnej lektury

Leon Durka

HOLOMETABOLIA, czyli przeobrażenie zupełne, występuje u owadów, które przechodzą pełen cykl rozwojowy. Z jaja wylęga się pasożytnicza gąsienica, która dzięki swojej nieokiełznanej żarłoczności szybko rośnie. Aby postać larwalna mogła przeistoczyć się w osobnika dojrzałego (imago), musi na jakiś czas zrezygnować ze swoich przyzwyczajzeń. Pokryć ciało chitynową skorupą i przez kolejne dni pościć. Jest to warunek konieczny do powstania pięknego motyla, czy też pracowitej pszczoły.

* * *

Tak naprawdę, to wszystko jest proste. Rzeczy, nawet najbardziej skomplikowane, tworzą się z uporządkowania prymitywnych detali według określonego planu. Zbudowane są z zespołów podstawowych elementów. Ogromna ich liczba odpowiada za złożoność.

STADIUM III

(POCZWARKA)

DWIE POSTACIE pochyliły się nad wagą stojącą na kamiennym stole. Prosty mechanizm nosił ślady wieloletniego używania. Mosiężne szalki pełne były rys i zadrapań. Od spodu pokryły się szaro-zielonym nalotem. Od dawna nikt ich nie czyścił. Urządzenie bowiem nie było ozdobą. Służyło do dokonywania pomiarów.

Strzałka wskazująca wychylenie równoważni tkwiła nieruchomo. Pomiar nie został jeszcze rozpoczęty.

Na początku osiągnięto konsensus co do dwóch warunków:

- w pomieszczeniu panował półmrok – światło raziło postać ubraną w ciemną szatę,

- w pomieszczeniu panowała cisza – dla postaci obleczonej w srebrzystą tunikę było to warunkiem koniecznym do skupienia się.

Kolejna runda zmagania dobiegła końca. Wynik nadal pozostawał nierozstrzygnięty. Po ostatnich, zupełnie nieprzemysłanych decyzjach człowieka, ciężar z lewej strony mógł przeważać znajdujące się na prawej szali dobre uczynki. Srebrzysty za ten stan rzeczy oskarżał siebie. Nie wykorzystał potencjału, którym był obdarzony. Jeżeli okaże się, że zmarnował swoją szansę, ogarnie go rozpacz. To jednak już nie pomoże śmiertelnikowi.

Popielaty także nie czuł się bez winy. Przez ostatnie tygodnie nie zrobił zupełnie nic. Gdyby przynajmniej rozpoczął kuszenie, wygraną miałby w kieszeni. Zamiast zajmować się zadaniem, oddawał się rozrywce. Za chwilę dowie się, czy awans ciągle jeszcze pozostanie w sferze życzeń. Perspektywa o ton ciemniejszego ubioru, a co za tym idzie wejście do świata hazardu, a może i do pałacu któregoś z dyktatorów, ponownie się oddali. Pomimo niepewności, nie okazywał żadnych emocji.

Nadzieja była poza zakresem uczuć, którymi dysponował. Wyrafinowanie nie pozwalało mu na taką rozrzutność energii. Czekał na rezultat, nie myśląc już o tym. Pewnym ruchem zwolnił mechanizm zabezpieczający.

Dwie pary oczu z uwagą rozpoczęło śledzenie metalowego urządzenia. Kołysanie szalek uspokoiło się dopiero po kilku minutach. Osiągnęły stan równowagi. Wskaźnik ustawił się prostopadle do marmurowego blatu. Remis oznaczał tylko jedno – konieczność dogrywki.

Nie mogli pozostawić sprawy samej sobie, choć obydwoj mieli na to ochotę. W miarę upływu czasu czuli się coraz bardziej znużeni. Wizja nagrody żadnej ze stron nie zagrzewała już do walki.

W kolejnej, szóstej rundzie mieli prawo do ustalenia warunków zmagania. Imperium rozumu przeciwko potędze uczuć.

Popielaty jako pierwszy zwrócił uwagę, że człowiek nie jest sam. Przypomniał o gościach zamieszkujących jego umysł. Trzy, uśpione demony. Karłowate, mizerne duchy. Zbyt słabe, aby bez interwencji z zewnątrz, przebić się przez dojrzałą psychikę doświadczonego życiem mężczyzny i zaistnieć. Pomieszczenie wypełniło się skrzeczącym, nieprzyjemnym głosem:

— Zostawmy duszę w spokoju. Niech robi, co chce.

— To uczyniliśmy ostatnio. Bez rezultatu.

— Nie zamierzam wkładać w los śmiertelnika zbyt dużo wysiłku. Nie warto.

— Musimy dokończyć to, co zostało rozpoczęte.

— Działajmy poprzez demony.

— To wymaga głębszego zastanowienia się. One są z obszaru cienia.

— Proponuję, aby nie ingerować w pojedynkę między człowiekiem i zamieszkującymi go pokusami.

— Chciałbyś, abym zaniechał pomocy? – zaciętrzewił się Srebrzysty.

- Jak dotąd jakoś nie kwapiłeś się do działania.
- Może lepiej późno niż wcale?
- Jeśli sądzisz, że nie dasz rady, poddaj się.
- Dokończymy ten pojedynek.
- A więc do dzieła.
- Ustalmy zasady.
- Są określone ograniczeniami materialnego świata.
- Jaką masz propozycję?
- Obudźmy żądze. Wszystkie trzy.
- Niech tak będzie – odpowiedź nadeszła po krótkim wahaniu. – Zrobimy to po kolei. Co trzydzieści dni.
- Zgoda. Przyjmuję warunki. Jeżeli człowiek wyrzuci złych i oczyści wolną wolę, wygrasz.
- A jeśli nie?
- Wystąpią przeciwko swojemu gospodarzowi.
- Aby go zniszczyć.
- To doskonale wyszkolone pasożyty. Nie od razu zabiją swojego żywiciela.
- Sprawdźmy prawdopodobieństwo – powiedział Srebrzysty, wznosząc wzrok.

W tym samym czasie Popielaty wpatrywał się w podłogę.

Wynik nie był jednoznaczny: czterdzieści dziewięć do pięćdziesięciu jeden procent szans dla dobrej strony wszechświata. W praktyce, żaden z nich nie miał przewagi. Kampania zostanie rozpoczęta kolejnego dnia rano, dokładnie za osiem godzin, dwanaście minut i sześć sekund...

* * *

AMERYKANIN poczuł się pewniej. Udało mu się pokonać znużenie, które stanowiło największe zagrożenie.

Monotonia jednostajnego, wysokiego dźwięku, przecinającego powietrze śmigła w połączeniu z pozostawianiem wciąż w tej samej pozycji sprawiała, że zaczynał zapadać

w drzemkę. Ciężkie powieki opadały same, a przed oczami stawały senne obrazy. Czuł narastające z każdą chwilą przyjemne odprężenie. Po kolei wyłączane zmysły przedstawiały pełnić swoje funkcje. Głowa opadała na ramiona. Tułów także zmieniał pozycję, na ogół, przechylając się na lewą stronę. Palce powoli zsuwały się z półkola wolantu, pozostawiając stery bez kontroli. Nagła zmiana położenia przywracała świadomość. Drżącymi rękoma doprowadzał skrzydła do poziomu. Po raz kolejny.

Aby nie zasnąć, mówił sam do siebie. Głośno i rytmicznie. Kiedy nie mógł skupić się na monologu, śpiewał, wypełniając całą kabinę głośnym barytonem. Gdy i to zawodziło, ścisnął w zębach otwarty kartonik z porzeczkowym sokiem. Kiedyś słyszał, że zanim zamkną się powieki, wcześniej puszcza mięśnie żuchwy. Z braku lepszego pomysłu, postanowił to sprawdzić. Kąpiel w czarnym soku miała być ostatecznością.

Lot był spokojny. Brak porywów wiatru i dobra widoczność to dwa, najważniejsze dla bezpiecznej kontynuacji podróży, czynniki. Codziennie pięć do siedmiu godzin w samolocie, podczas których pokonywał blisko osiemset kilometrów. Razem z dłuższymi postojami, w przeciągu miesiąca miał dotrzeć do celu podróży.

Nikt nie zaplanowałby tej wycieczki lepiej. Przed zakończeniem kariery zawodowej pracował jako inżynier w fabryce produkującej samoloty rolnicze. Projektował maszyny, ale także przeprowadzał testy praktyczne. Zawsze, gdy sprawdzał działanie poszczególnych mechanizmów, dopiero po próbie w powietrzu podpisywał dokumenty dopuszczające pojazd do użytku. Musiał mieć pewność, że człowiek będzie panował nad sterami. W tym zakresie nie ufał nikomu.

Wierzył w to, że ma mózg konstruktora. Wyjątkowy. Są mózgi lekarzy, polityków, handlowców, bukmacherów,

matematyków i... konstruktorów. Przekonanie o swoich wyjątkowych możliwościach nie pozwalało mu zaznać spokoju po zakończeniu zawodowej aktywności. Po opatentowaniu nowatorskiego rozwiązania dotyczącego budowy stabilizatorów lotu, znalazło się kilka firm, proponujących zastosowanie wynalazku w lekkich konstrukcjach lotniczych. Więcej nie musiał nic robić. Stał się zamożnym człowiekiem.

Dotychczasowe działania, wpisane w jego życie przez ponad dwadzieścia lat, zakończyły się. Rozum do funkcjonowania potrzebował przeprowadzania ciągłych analiz, czego w zaciszu domowym brakowało. Zaczął starać się o powrót do pracy. Miał zagwarantowany roczny kontrakt, kiedy Helena zachorowała. Wylew i w konsekwencji paraliż części tułowia i kończyn. Załamał się.

Umierała przez pięć miesięcy. Mówiła mu, że nie cierpi. Ostatnie dni swojego życia spędziła w klinice na oddziale intensywnej opieki medycznej. Odeszła cicho. Prawie niezauważalnie. Po śmierci żony nie potrafił uwolnić się od wspomnień. Prześladowały go bezustannie.

Musiał coś ze sobą zrobić. Nie mógł wciąż tylko błąkać się po domu i rozpaczać po stracie ukochanej kobiety. Wyobraźnia przywoływała urok wspólnie spędzonych lat, ale także przedstawiała nieprawdziwe obrazy, będące efektem narastającego z każdą godziną obłędu. Zdawał sobie sprawę, że coraz głębiej brnie w świat urojeń, ale nie miał dość samozaparciu, aby wycofać się z codziennego obrządku.

W końcu przyszedł dzień, w którym dotknął dna. Przegrał walkę z samym sobą. Bez grama alkoholu, narkotyków, czy papierosów. Depresja osiągnęła swoje apogeum ósmego czerwca wczesnym popołudniem.

Podjął decyzję. Nie wiedział tylko jak ma to zrobić. Nie odczuwał lęku. Po dogłębnej analizie różnych sposobów na odebranie sobie życia, ostatecznie doszedł do wniosku, że się zastrzeli.

Przez pewien czas wpatrywał się w odbezpieczoną broń. Jego inżynierski umysł nie brał pod uwagę jakichkolwiek ustępstw w stosunku do umowy, którą zawarł sam ze sobą. Pochodzące ze świadomości polecenie przemieściło się do ośrodków podkorowych, by najkrótszą drogą, przez rdzeń kręgowy i nerwy obwodowe dotrzeć do dłoni ściskającej pistolet. Spust uwolnił sprężynę, która pchnęła iglicę, wbijając ją na dwa milimetry w spłonkę. Proch zamienił się w gwałtownie rozprężający się gaz. Za chwilę, ogromne ciśnienie wypchnie siedmiomilimetrowej średnicy pocisk o zaokrąglonym końcu. Mosiężny, w środku wypełniony ołowiem walec, z wciąż wzrastającą prędkością, w przeciągu milisekund powinien przemierzyć lufę. Kości w części skroniowej czaszki są stosunkowo słabe. Pocisk skończy swoją drogę w miejscu, które wydało rozkaz do jego uwolnienia z gorącej jeszcze łuski. Koło się zamknie.

Obudził się w szpitalu z rozległymi oparzeniami głowy. Przez kolejne tygodnie nie mógł uwierzyć, że nabój był ślepy.

Operacja plastyczna przywróciła mu dawny wygląd. Nad uchem pozostał spory plac, na którym nigdy już nie miały wyrosnąć włosy. To nie było jednak istotne.

Potrzebował opieki i był tego świadomy. Jeśli znów będzie sam, prędzej czy później oszaleje. Na leczenie psychiatryczne zgłosił się dobrowolnie. Dzięki temu miał prawo wyboru. Było to lepsze niż przymusowe skierowanie do nieznanego miejsca. Jeszcze jeden trzeźwy wniosek. Samobójstwo nie wchodziło już w rachubę. Zobowiązał się, że więcej tego nie robi. Nie można ludziom mydlić oczu, tym bardziej szpitalnemu psychologowi.

Prawie rok pobytu w zamkniętym ośrodku przywrócił go światu. Kolejny rok konsultacji i wielogodzinnych zajęć terapeutycznych sprawił, że mógł funkcjonować normalnie. Zmienił miejsce zamieszkania. Rozpoczął nowe życie.

Przez wiele miesięcy szukał sobie zajęcia. Nie potrafił usiedzieć w miejscu.

Miał tylko jeden kryzys. Cierpiał przez kolejne trzy dni. Doznał wewnętrznego oczyszczenia i powiedział „tak” nieznanemu jak do tej pory doświadczeniu. Fascynacji, która go olśniła. Odnalazł swój cel.

* * *

Wokół rozpościerał się piękny widok lasów północnej półkuli. Gdziekolwiek spojrzeł, widział ciemną zieleń masywnych, starych świerków. Aż po horyzont.

Przez ostatnie dwa dni leciał nad obszarami porośniętymi w większości modrzewiami, które zimą, po utracie igieł, były szare i smutne. Szmaragdowy kolor pojawił się wczesnym rankiem. Dodawał otuchy.

Na zewnątrz panował mróz. Temperatura powietrza obniżyła się do minus czterdziestu stopni Celsjusza. Złote słońce dodawało blasku, zarówno drzewom, jak i niebieskiemu niebu. Pastelowe kolory otaczały pilota ciepłem. Miał dobry humor.

W oddali zauważył białą ścianę mgły. Zamyślił się i zlekceważył niebezpieczeństwo. Dopiero, gdy dotarł do wiszącej nad wierzchołkami drzew chmury zorientował się, że widoczność uległa znacznemu pogorszeniu. Zadarł głowę. Mleczne powietrze wznosiło się na wysokość kilku kilometrów. Tak wysoko nie uniesie samolotu. Pozostawało mu zatem kontynuowanie podróży w trudniejszych warunkach. Przekroczył granicę frontu atmosferycznego. Wyostrzył zmysły. Po kilku minutach oczy

przyzwyczyły się do mniejszej ilości światła. Warunki nie były tak złe, jak wcześniej przypuszczał. Nie zaobserwował niczego, co mogłoby zagrażać spokojnemu lotowi. Niebezpieczeństwo jednak istniało...

Mikroskopijnej wielkości cząstki lodu zaczęły osiadać na skrzydłach i kadłubie maszyny. Do nich przyłączały się kolejne. Zwiększył pułap, ale to niewiele zmieniło.

Samolot z każdą minutą stawał się coraz cięższy. Wszechobecna, nasycona zamarzliną mgła szczelnie otulała ogromny obszar dziewiczych borów. On, niestety, o tym nie wiedział. Miał nadzieję, że wkrótce wleci w strefę wyżu, gdzie słońce rozświetli przestrzeń i stopi utrudniający podróż lód.

W pewnym momencie ciężar powietrznego pojazdu osiągnął poziom krytyczny. Wysokie obroty silnika i maksymalnie zadarte do góry klapy sterowe – to wszystko, co mógł zrobić. Mógł liczyć jeszcze na Tego, który jest autorem praw fizyki panujących zarówno na Ziemi, jak i w całym wszechświecie. Zaczął się modlić, prosząc o wsparcie.

Kilka białych płatów oderwało się od skrzydeł i z furkotem podążyło w kierunku ziemi. Odetchnął, ale nie na długo. Po kwadransie widoczność zmniejszyła się jeszcze bardziej. Kryształki zamarzniętej wody z coraz większą mocą przywierały do przeciążonego pojazdu. Kilkadziesiąt metrów pod nim znajdowały się wierzchołki kilkusetletnich drzew. Wystarczy, że zawadzi o jedno z nich. Śmierć równie szybka jak od wyzwolonej z pociśku kuli. Tym razem niechciana.

Razem z maszyną powoli opadał w kierunku ziemi...

* * *

KONSTANTY westchnął. Tyle już razy zabierał się za porządki w zakrystii i jak do tej pory nie udało mu się

tego dokonać. Zawsze wypadło coś nieoczekiwanego. Przedwczesny poród żony drwała, chore świny, wybuch trotylu w tartaku, pożar w składzie drewna, a ostatnio jego własne niedomaganie – rozstrój żołądka spowodowany zatruciem.

Pomieszczenie wymagało sporego nakładu pracy. Oberwana półka, źle zamocowany wieszak w szafie, w której trzymał liturgiczne stroje, nieszczelne okno i kurz, który zbierał się tu od lat. Podłoga potrzebuje umycia, a zawiasy naoliwienia. Ponadto trzeba także naprawić zamek. Praca na cały dzień, a może i na dwa.

Zaczął od zamiatania. Po kilku zamaszystych ruchach miotła zawisała w powietrzu. Usłyszał dziwny dźwięk. Jakby warkot tnącego zmarznięte powietrze śmigła. Wysokie tony świadczyły o tym, że obroty są bardzo szybkie. Zbyt szybkie. Czuł, że z hałaśliwym mechanizmem coś nie jest w porządku. Odgłosy przypominające ciężki lot olbrzymiego trzmiela naraz przycichły i słyszać już było tylko szum sunących po śniegu sań.

Udał, że to co się dzieje na zewnątrz zupełnie go nie obchodzi. Zaczeka, aż wypełniająca okoliczną przestrzeń akordy umilkną i ponownie zabierze się za zamiatanie. Nie ma zamiaru wychylać nosa na mroźne powietrze.

Intruz zbliżył się do terenu kościoła, następnie staranował płot i znieruchomiał. Silnik zgasł. Nastąpiła pełna napięcia cisza.

Na wiosnę będzie zatem nowa robota. Sztachety już dawno były zmurszałe. Z remontem ogrodzenia pogodził się od razu. Gorzej z przerwanym po raz kolejny sprzętaniem zakrystii. Zaczął głośno narzekać:

— Nie pojmuję, dlaczego nie chcesz, abym w końcu uporządkował izbę, w której przygotowuję się do służenia Tobie. Jak tak dalej pójdzie, to będę musiał odprawiać Mszę w drelichach. Płot, rozumiem – był stary i wymagał

wstawienia nowych sztachet już w zeszłym roku. Słusznie zrobiłeś, że mi o tym przypomniałeś. Ale dlaczego nie mogę sprzątnąć małego pokoiku, za którym znajduje się ołtarz? Remont okna i szafy, a także konserwację zamka ostatecznie mógłbym zostawić na później. Widzę jednak pilną potrzebę użycia szmaty i szczotki. Ty wiesz, że ja nie lubię tych babskich czynności, ale zdaje się nie to jest przyczyną, z powodu której przerywasz mi pracę.

Zamilkł, by zastanowić się nad własnymi słowami.

— Przykro mi, że stało się to tak nagle, ale nie mogę zagwarantować, że tu wrócę, aby doprowadzić to pomieszczenie do stanu używalności. Za każdym razem dzieje się coś, co nie jest ani miłe, ani przyjemne. Jeśli dajesz mi znak, to go nie rozumiem. Teraz rzucę miotłę w kąt i zobaczę, jaka znów niespodzianka czeka na mnie na podwórzu.

Samolot zatrzymał się nie dalej niż dwa metry od ściany kościoła. Był przechylony na lewe skrzydło, którego koniec tkwił w sporej zaspie. Z ziemią, a właściwie z metrową warstwą pokrywającego ją śniegu, zetknął się dużo wcześniej. Wyrył dość głęboki korytarz. Biały puch wyhamował prędkość maszyny i uchronił świątynię przed poważnym uszkodzeniem. Śnieg spadł w samą porę. Albo też awionetka wylądowała we właściwym czasie i miejscu. Tak czy inaczej, wypadek nie zagroził parafii.

Pilot był nieprzytomny. Rosjanin dość łatwo wyciągnął go z kabiny i położył na wojskowym płaszczu. Po sprawdzeniu kończyn z zadowoleniem stwierdził, że są nienaruszone. Przy braku środków znieczulających, nastawianie kości jest zajęciem mało sympatycznym. Amator powietrznych podróży mógł mieć uszkodzenie kręgosłupa, ale w takim przypadku nikt w promieniu kilkuset kilometrów nie byłby w stanie udzielić mu pomocy.

Klecha ciągnąc za sobą brezentowy płaszcz, dotarł do chaty, w której mieszkał. Pilot mógł mieć co najwyżej

wstrząs mózgu i skręconą kostkę, co nie zmienia faktu, że będzie miał go na głowie przez najbliższe tygodnie. Z drugiej strony zeszłej zimy bardzo odczuwał samotność. Doszedł do wniosku, że jeśli musi z kimś dzielić domostwo, osobę tę wolałby sobie wybrać sam.

— Po co mi to zesłałeś? – wyszeptał smutno. – Czy ten latający pojazd musiał spaść akurat tutaj?

Zawstydził się na samo wspomnienie swoich myśli. Pokornie przeprosił za swoją słabość i brak wiary. Czekał, aż modlitwa wypełni jego wnętrze.

— Jestem przekonany, że masz w tym jakiś cel. Dziękuję zatem, że o mnie jeszcze pamiętasz. Czekając na dzień, w którym to pojmę, będę robił swoje. Przygotuję parafię na Boże Narodzenie jak nigdy dotąd. Obiecuję. Mam wrażenie, że wkrótce wydarzy się coś, co może zupełnie odmienić moje życie, a może nawet życie całej, zagubionej wśród tajgi osady. Proszę, pokaż mi wyraźnie, co mam czynić, kiedy nadejdzie właściwy moment.

Chory jęknął cicho. Konstanty doszedł do wniosku, że niezwłocznie powinien zabrać się za nastawianie skręconej kończyny, dopóki pacjent jest nieprzytomny. Później będzie musiał znieść krzyk bólu. Dzień dostarczył mu już dość wrażeń.

* * *

AMERYKANIN okazał się być niecierpliwym człowiekiem. Już po tygodniu chciał wstać z postania. Przekonywał o tym po angielsku, a także używając „łamanego” rosyjskiego, którego podstaw nauczył się na kursie. Szkolenie, choć było intensywne i trwało przez kolejne dwa semestry, nie dało oczekiwanego rezultatu. Był komunikatywny co do podstawowych zagadnień, lecz wciąż miał problemy ze zrozumieniem słowiańskiego języka.

Wypchany słomą siennik codziennie był wstrząsany i trzepany, dzięki czemu stanowił komfortowe miejsce do leżenia.

Gospodarz przeniósł się na piec, gdzie zrobił sobie legowisko wysłane skórami owiec i wilków. Takiego gestu wymagała gościnność, która na obszarach syberyjskiej tajgi była tradycją przekazywaną z pokolenia na pokolenie.

Historia, którą usłyszał od nieznanego, przyprawiła go o zdumienie. Niesamowita opowieść. Po kilkudziesięciu latach nieużywania angielskiego, musiał wsłuchiwać się w poszczególne słowa, aby zrozumieć sens wypowiedzianych zdań. Często też prosił o powtórzenie niektórych zwrotów. Trzeciego dnia odważył się na dłuższą wypowiedź. Ze składnią nie miał większych problemów. Czasy dobierał automatycznie. Nieco gorzej było z akcentem.

Kiedy zaraz po studiach został tłumaczem, zagraniczni goście chwalili jego bezbłędny angielski. Brytyjczycy sądzili, że jest Amerykaninem, obywatele USA zaś, że pochodzi z Teksasu, co miał zdradzać sposób mówienia. Owszem spędził pół roku w Stanach na praktykach, ale był to Nowy Jork. Obcym językiem doskonale władał dzięki talentowi. Swoich predyspozycji nie traktował jako czegoś nadzwyczajnego. Uważał, że jest to cecha przyrodzona, taka sama jak wzrost, budowa ciała, ładny głos, czy gęsty zarost. Wielu ludzi zazdrościło mu dobrze płatnej i ciekawej pracy. W tamtych latach, w ówczesnym Leningradzie, zaraz po Moskwie, najważniejszym mieście Związku Radzieckiego, żyło mu się dobrze. Znajomi byli zdumieni, kiedy zrezygnował z pracy. Nie tłumaczył się nikomu, i tak by nie zrozumieli.

Był bardzo ciekawy, dlaczego nieobliczalny Jankeś zdecydował się na tak trudną i niebezpieczną wyprawę.

Patrząc na to oczami człowieka wschodu, w wycieczce widział niepotrzebny wysiłek i zbyteczny koszt. Szaleniec musiał kupić samolot, zorganizować miejsca międzylądowań i logistykę zaopatrzenia. Ryzykował samotny lot, podczas którego walczył ze znużeniem i bolącymi plecami.

— Komu może przydać się twój znój? – zapytał zdziwionym głosem duchowny.

— To moje poświęcenie.

— Zbyteczne.

— Nie masz racji.

— Mam.

— To pielgrzymka.

— Marnotrawstwo pieniędzy.

— Są moje. Mogę robić z nimi co chcę.

— Należysz do kilku procent ludzi na Ziemi, którzy są zamożni.

— Nie jestem zamożny.

— Ależ jesteś. Stać cię na ubranie. Kiedy chcesz, możesz najeść się do syta. Co do tych dwóch rzeczy pewność może mieć mniej niż jedna czwarta mieszkańców naszej planety. I jeszcze dach nad głową. Własny dom. Nie prowizoryczny szałas, slums, czy prymitywne pomieszczenie zrobione z kartonowych pudeł. Zawężamy się do niecałych pięciu procent. Ale ty posiadasz także samolot i budżet pozwalający na eskapadę przez pół świata. Jesteś obrzydliwie bogaty.

— Pracowałem na to przez pół życia.

— Aby teraz igrać z losem?

— Chcę odwiedzić jerozolimską świątynię i jeszcze kilka innych miejsc.

— Spójrz na siebie. W żadnym calu nie przypominasz pątnika.

— Kogo więc przypominam? – burknął nieprzyjemnym głosem.

— Jesteś turystą. Nieobliczalnym ze względu na brak doświadczenia podróżnikiem donikąd.

— Nie mówmy o tym. Nigdy nie pojmiesz moich pobudek.

— Wcale nie jestem ich ciekawy. Natomiast interesuje mnie twoje zdrowie. Będziesz oszczędzał stopę jeszcze co najmniej przez tydzień.

— Później pomożesz mi doprowadzić maszynę do porządku i polecę dalej. Nie zdążę już osiągnąć Betlejem przed Bożym Narodzeniem, ale dotrę tam przed świętem Trzech Króli.

Konstanty nie odpowiedział. Można by kontynuować tę bezsensowną sprzeczkę godzinami, a on i tak by niczego nie zrozumiał. Bez doświadczenia nie ma szans.

Jest szczęściarzem. Trafił do miejsca, gdzie będzie dane mu poznać skrawek prawdziwego życia. Zasłuży się też, komu trzeba. Będzie pomagał w przygotowaniach do nadchodzących świąt. Zapracuje na nagrodę.

Samolot odleci w bliższej lub dalszej przyszłości. Kiedy już będzie wiadomo, z jakiego powodu znalazł się właśnie tu, w samym środku nieprzyjaznej ludzior Jakucji. W dniu, w którym zamiar Opatrzności zostanie rozszyfrowany, podróżnik będzie mógł ponownie wzbić się w przestworza, chyba, że nadal będzie musiał pozostać na ziemi...

* * *

POPIELATY przystąpił do działania. Budzenie śpiących od lat demonów nie jest rzeczą ani prostą, ani też bezpieczną. Zbyt szybka pobudka może doprowadzić ducha do irracjonalnego zachowania.

Pragnienie bogactwa, władzy i sławy. Trzy ledwie widoczne, półprzezroczyste twory, ukryte głęboko w podświadomości człowieka.

Zaczął od zarządcy pieniędzy. Wysłał sześć silnych impulsów, które zdołałyby w przeciągu ułamka sekundy przywrócić do życia hibernowaną przez zimowe miesiące żabę. Uwięzione w lodzie zwierzę, o temperaturze ciała nie wyższej niż zero stopni Celsjusza, pod wpływem dostarczonych bodźców ocknęłoby się natychmiast. Tysiące razy mniejszy był ani drgnął. Zachował się tak, jakby nie działały na niego prawa ciemności. Coś zatem było nie tak.

Od dnia, w którym Fenicjanie wprowadzili do obiegu pieniądze, żądza ich posiadania sprawiła pojawienie się demonów bogactwa. Zjaw wyjątkowo aktywnych, rzadko pozostających w uśpieniu. Postęp cywilizacyjny, a co za tym idzie wypaczenie podstawowych praw kierujących postępowaniem mieszkańców Ziemi, wielokrotnie, bez dodatkowej ingerencji prowadziło do ich zguby. Ludzie często robili rzeczy i angażowali się w sytuacje, które trudne były do zaplanowania nawet przez doświadczonych, należących do mrocznej strony wszechświata, kusicieli. Nierzadko ten, który miał być rozkazodawcą, stawał się ofiarą. Wobec bezceństw, jakich dopuszczali się śmiertelnicy, nieczysty nie wytrzymywał konkurencji w środowisku pełnym zakłamania i zdrady. W ten sposób zniszczono wiele psychik wytrawnych łowców ludzkich dusz.

Ten nie wyglądał na ułomnego. Tyle, że był niewielki. Jeśli dostanie odpowiednią ilość pożywki, urośnie szybko i przesłoni właściwe postrzeżenie świata.

Drugi impuls był znacznie silniejszy. Duch został wybity do góry, aż do stanu świadomości, gdzie zabawił krótko, po czym wrócił na swoje miejsce. Nie ocknął się z odrętwienia, choć wartość użytej energii metafizycznej, mogłaby pozbawić konia życia. Kolejna próba mogła być zbyt niebezpieczna. Podrażniony impulsem, został pozostawiony w spokoju. Można było mieć nadzieję, że

jego koledzy, w wyniku przyrodzonych im aktywności, w przyszłości pobudzą także i jego.

Grummi - suweren władzy ocknął się od razu. Kiedy zorientował się, kto powołał go do działania, posmutniał. Miał nadzieję, że człowiek przekroczył barierę, za którą nie będzie miał za złe, aby intruz stał się jego kompanem i doradcą. Tak niestety nie było.

Mężczyzna nie zaprosił go do siebie. Obudziły go anioły. Zamiast przyjemności, zaznawanych w miarę staczania się śmiertelnika, czeka go trudne zadanie. Jego celem będzie doprowadzenie do upadku kogoś, kto obecnie jest uczciwy. Taka praca nie należała do sympatycznych. W końcu jest tylko tym, który podszeptuje, a nie stosuje brutalne metody prania mózgu. Ci, dla których ma być narzędziem, zmuszą go do zdominowania wolnego umysłu. Wobec tego nie będzie harców na imprezach i uciechy z klęski wrogów. Zamiast tego, musi się przygotować na wysiłek bez chwili wytchnienia.

— Dlaczego ja? – zapytał cicho, jakby bojąc się reakcji mających nad nim władzę postaci.

Popielaty wzruszył ramionami, zaś Srebrny wykrzywił usta w geście obrzydzenia.

— Moi koledzy zrobią to lepiej. Są głębiej zakotwiczeni w umyśle, a poza tym sprytniejsi. Czemu wybraliście najsłabszego?

— Będzie gra – wyjaśnił Popielaty. – Cała wasza trójka będzie w niej uczestniczyć. Po kolei. Ty jesteś pierwszy.

— Litości! – Wymknęło się Grummiemu. A więc sytuacja jest gorsza niż myślał. Gra, czyli walka pomiędzy Aniołem Jasności i Aniołem Ciemności. Skojarzenia z jakąkolwiek pokojową rywalizacją mogły na zawsze pozostać w sferze marzeń i niespełnionych nadziei. Byłoby lepiej, gdyby zechcieli zagrać ze sobą w tenisa, używając go zamiast piłki. Nadchodzą ciężkie dni.

— Bierz się do roboty - odpowiedział szary. Aby niczego nie popsuć, uaktywniaj się bez pośpiechu. Możesz oddziaływać na innych ludzi z otoczenia ofiary. Także na zwierzęta, jeśli zajdzie taka potrzeba. Pamiętaj, aby po każdej akcji poza przypisanym ci interiolem, bezwzględnie wracać do swojego żywiciela. Chciałbym, abyś podołał tej misji. Będę ci sprzyjał. Mój srebrny przeciwnik życzy ci wszystkiego co najgorsze, ale nie będzie mógł przeszkadzać. Gra kiedyś się skończy. Jeśli dobrze się spiszesz, po trzydziestu dniach pozwolimy ci nieco odechnąć.

— Jeśli dotrвам do końca.

— O to jestem spokojny.

— Cały miesiąc. To straszne.

— Straszna dopiero może być sytuacja, w której się znajdziesz, jeśli zawiedziesz.

Mało znaczący duch nikogo nie obchodził. Kości zostały rzucone.

* * *

KONSTANTY stracił ochotę na rozmowę. Nudził go w kółko powtarzany ten sam temat. Od kilku dni, nie wiedząc skąd, słyszał w myślach głos, który najczęściej w trakcie prowadzonych z obcym dialogów, wtrącał swoje komentarze. To potęgowało niechęć do konwersacji.

Pomimo rozdrażnienia, starał się dzielnie dotrzymać towarzystwa. Nie miał innego wyjścia. W jednoizbowej chacie dwaj mężczyźni byli na siebie skazani. Jak długo można się nie odzywać? Kwadrans milczenia wydaje się być wiecznością. Poszanowanie ciszy jest zbyt trudne. W międzyczasie pojawiają się krótkie pytania i odpowiedzi w postaci zwrotów w trybie twierdzącym: „może zrobię herbatę”, „z przyjemnością”,

albo „przyniosę chleb i smalec”, „wolałbym konfitury”. Zwykle, stają się one zaczątkiem dłuższej wymiany zdań. Mija godzina, albo dwie i jak bumerang, pojawia się oklepany watek przerwanej wycieczki.

Gospodarz plebanii do tej pory nie pokazywał po sobie podenerwowania. Starał się kontrolować. Teraz wyrzucił z siebie wszystko, co leżało mu na sercu. Bez zahamowań. Miał już dość tej dziecinady:

— Aby cokolwiek zrozumieć, musisz pozbyć się zniewolenia, które tobą kieruje. O niczym sam nie decydujesz. Nie potrafisz. Co najwyżej możesz dokonywać wyborów z tego, co podano ci na przysłowiowym talerzu. Tak właśnie komfortowo ukształtował cię zasobny, kapitalistyczny świat. Warunki, w których żyłeś.

— Nie mogę się z tym zgodzić.

— To, że tak uważasz, jest tylko potwierdzeniem moich słów.

— Chciałbym ci uświadomić, że każdy dowód opiera się na racjonalnych przesłankach – tym razem Amerykanin wykrzyknął z wyraźną złością. Zapragnął dogryźć Rosjaninowi, który zachowywał się tak, jakby pozjadał rozumy wszystkich okolicznych mędrców. Jego argumentacja wydaje się być logiczna dla prostego człowieka żyjącego w oderwaniu od cywilizacji. Poukładał sobie to, co zdołał zaobserwować i twierdzi, że to jedyna prawda. Brak kontaktów ze światem nie pozwolił na pojawienie się najmniejszych wątpliwości. Uwierzył, że jest posłańcem mającym spełnić ważną misję. Aby mógł zmienić swoje święte zdanie musiałby tego chcieć. On jednakże zamknął się w hermetycznym środowisku własnych wyobrażeń. Jest uparty. Można się było spodziewać, że nawet najbardziej realistyczne, łatwe w zrozumieniu kryteria zostaną odrzucone. Aby nie dopuścić do siebie racjonalnych przesłanek, w zakamar-

kach pamięci odnajdzie coraz to nowe, coraz bardziej fanatyczne argumenty. Będzie upierał się przy swoim i w kółko powtarzał racje, w które wierzy bezkrytycznie. Doszedł do wniosku, że w swoim zachowaniu ksiądz podobny jest do członka sekty, który nauczony przez swojego duchowego nauczyciela kilku zasad, całą ideologię, w tym dogmaty wiary, opiera wyłącznie na nich. Dzięki temu nie daje wciągać się zbyt głęboko w dyskusję i niczego nie kwestionuje.

Tymczasem u Konstantego, nie wiadomo skąd, pojawiła się konkluzja na temat nieproszonego gościa.

„Zbliży się moment, w którym zechce mnie zdominować. Narzucić swoje racje. Zachowuje się jak daltonista, który neguje możliwość istnienia różnobarwnej tęczy. Nigdy nie widział kolorów. Jest pewien swego i nie da się przekonać za pomocą najdoskonalszych dowodów pośrednich. Jedyne wyjście jest przeprowadzenie zabiegu na niedowidzących oczach. Bez znieczulenia. Bolesne lekcje pamięta się dłużej”.

Kolejne sekundy spędzają z zaciśniętymi ustami. Tak łatwiej zebrać myśli. Jedyne dźwiękiem, który subtelnie wypełnia atmosferę izby, jest tykanie starego zegara. Przejście do ofensywy jest konieczne. Obcemu należy udzielić kolejnych wyjaśnień. Muszą go dotknąć, ale nie zrazić. Smak cierpienia nie raz zdąży jeszcze poczuć. Edukację należy prowadzić mądrze, stopniowo zwiększając stopień trudności.

— Wyobraź sobie, że znajdujesz się na ulicy wielkiego miasta i nagle poczułeś głód. Jak zachowywałeś się w takich sytuacjach?

— Kupowałem coś do jedzenia.

— Co to najczęściej było?

— Hamburger albo kurczak, rzadziej jakieś chińskie danie na wynos.

— Dokonywałeś wyboru.

— Podejmowałem decyzję.

— Czy będzie to McDonalds, KFC, czy chińszczyzna to tylko wybór. Decyzja byłaby wówczas, gdybyś rozważał, czy masz zaspokoić łaknienie, czy też pozostać głodnym. Czy kiedykolwiek nie pozbyłeś się przykrego ssania w żołądku?

— Po cóż miałem to robić, skoro uliczne jedzenie kosztuje niewiele i jest łatwo dostępne?

— Choćby dlatego, że takie potrawy są niezdrowe.

— Czcze gadanie.

— Kiedy uwolnisz się od skorupy, którą jesteś szczelnie oblepiony, ujrzysz otaczającą cię rzeczywistość. Dopiero wtedy poczujesz się jej częścią. Dzisiaj jesteś tylko widzem w teatrze zdarzeń. Klientem tych, którzy oferują złudzenia.

„Zamilkł. Nie wie, co powiedzieć. Bardziej martwi się, jak wybrnąć z problemu niezdrowego jedzenia niż rozpocząć polemikę na temat zasadniczy. Pozwolę mu się wyciszyć. Kiedy uznam, że koniec wstępu, przystąpię do ataku. I tak nie ma innego wyjścia, parafia bowiem potrzebuje pieniędzy”.

Po upływie kilku minut, doszedł do wniosku, że nadeszła pora, aby uświadomić cudzoziemca, jakie czekają go obowiązki:

— Jutro pójdziemy do lasu.

— W jakim celu?

— Do pracy.

— Do pracy?

— Tak. Tartak potrzebuje więcej surowca. Ogłosił nabór. Będziemy drwalami.

- Dlaczego mamy to robić?
- Aby zdobyć pieniądze na utrzymanie.
- Nie mam pojęcia jak się ścina drzewa.
- Nauczysz się.
- To niebezpieczne.
- Dużo gorsze jest być darmozjadem.
- Mam dolary!
- Powinieneś się cieszyć, że jest zatrudnienie. Twoje dolary nie są nam potrzebne.
- Nie muszę podejmować ryzyka.
- Jeżeli temperatura nie spadnie poniżej minus czterdziestu stopni Celsjusza, będziemy uderzać siekierami w ponad stuletnie pnie dostojnych świerków. Pozbawimy je życia w trakcie zimowego snu. Kiedy będą przewracać się, niszcząc wszystko, co napotkają po drodze, a człowiekowi pomimo to uda się ująć z życiem, krew w żyłach popłynie trochę szybciej. Zobaczysz.

„Ponownie milczy. Wie, że i tak nic nie wskóra. Może zostać w domu, ale nie robi tego. Pójdzie. Będzie ryzykował życiem, abym nie pomyślał, że jest tchórzem. Cóż znaczy moje wyobrażenie o przybylszu z dalekiego kraju? Nic. A dla niego tak wiele. Nie podejmie dyskusji, która i tak skazana jest na niepowodzenie. Jeśli zacznie mówić o czymś innym, będzie to znaczyło, że mam rację”.

— Jaką dniówkę możemy wyciągnąć?

„Poddał się mojej woli. Zaczynam nim sterować. Lekko rozwarł powieki. Chociaż jeszcze obraz nie jest ostry, już coś widać. Od tej pory muszę więcej z nim rozmawiać. Tylko i wyłącznie po angielsku. Dzięki niemu przypomnę sobie język. To zajmie go trochę – nie będzie myślał o byle

czym. Musi zapomnieć o swoich nawykach, w przeciwnym wypadku nie ma żadnej szansy na uzdrowienie”.

— Nie sprawdzałem, jakie są w tym roku stawki, ale z pewnością większe niż nauczyciela w szkole.

— Będziesz musiał mnie przeszkolić.

Pokiwał głową. Kiedy do spoconego ciała ściśle przylega bielizna, a ręce mdleją od kolejnych ciosów, człowiek nie zastanawia się na techniką rąbania. Podświadomie oczekuje charakterystycznego trzasku pękających włókien, co jest wstępem do upadku drzewa. Dźwięk przeciska się przez kożuch nauszników i w uchu zmienia się w sygnał alarmowy, docierający do świadomości. Trzeba natychmiast poderwać się na nogi i obserwować kierunek, w którym spada potężna korona. Niektórzy tego nie robią. Odkładają topory i zanim jeszcze świerk zacznie się przechylać, zapalają papierosa, rozkoszując się gryzącym dymem. Urodzeni drwale. Zresztą, w osadzie nie można urodzić się nikim innym. Ci nieliczni, którzy nie zajmują się wyrębem i nie pracują w tartaku, nie są stąd. To przyjezdni: nauczycielka, sklepikarz, kierownicy ciągników, a także milicjant. No i on – proboszcz maleńkiej parafii. Nietutejsi, nie licząc jego, nie są tu z własnej woli. On zresztą także nie ma wyboru, ale z całkiem innych względów. Obowiązuje go posłuszeństwo.

* * *

Ani KONSTANTY, ani AMERYKANIN nie pasowali do pozostałych robotników. Byli dużo młodszy, a przy najmniej na takich wyglądali. Inaczej ubrani, górujący nad autochtonicznymi mieszkańcami Syberii wzrostem i masywniejszą budową ciała. Nie palili i czapki mieli związane pod brodą. Wyglądali trochę jak książęta wśród wieśniaków. Ci ostatni nie zwracali na nich żadnej uwa-

gi. Kiedy wyznaczono wiekowe, skazane na ścięcie rośliny, przydzielono po kilka, pomazanych czerwoną farbą pni każdemu z drwali, po czym niezwłocznie przystąpiono do dzieła. Odgłosy uderzeń ostrych siekier rozniosły się po najbliższej okolicy.

Na edukację Jankesa nie było czasu. Musiał sam dać sobie radę. Pamiętając o ostrzeżeniach duchownego, starał się nie popełnić żadnego błędu. Łoskot walącego się giganta był sygnałem do krótkiego odpoczynku. Kiedy oddech uspokajał się, zaczęli odrąbywać konary. Dłuższy przestój mógł być zgubny dla pokrytego potem, rozgrzanego organizmu. Mniejsze gałęzie dokładano do sporego ogniska.

Około pierwszej po południu zarządzono dłuższą przerwę. Właściciel tartaku przysłał kierowcę, który przywiózł im bańkę bigosu, osiem bochnów chleba i cztery litry bimbru w kilkunastu małych butelkach. Po ćwiartce na osobę.

Rozsiedli się wokół ognia. Na przemian jedli, wznosili krótkie toasty i palili cuchnące papierosy.

— Nie mogę tego wypić – z oburzeniem stwierdził Amerykanin, wskazując na postawioną przed nim butelkę.

— Dlaczego?

— Świadomie mam połknąć truciznę?

— Płyn zasadniczo nie jest toksyczny. Pamiętaj, że otrzymałeś nieodpłatny przydział.

— Niech delektują się nim ci, którym smakuje. Chętnie komuś oddam swoją porcję.

— Bimbru nie można nikomu oddać. Byłoby to źle widziane.

— To wyleję.

— Jeśli zrobiłbyś coś takiego, wyrzucą cię z lasu.

— A ty, będziesz pił?

— Tak.

— W adwencie obowiązuje wstrzemięźliwość. Szczególnie kapłanów.

- A drwali?
- Chyba też.
- Również tych, którzy pracują na tak dużym mrozie?

„Chciałby, abym okazał się bohaterem. Heroicznym piewcą wiary. A ja zaraz wychylę ćwiartkę samogonu, który ma blisko siedemdziesiąt procent czystego alkoholu. Pachnie drożdżami i przy okazji jest źródłem witamin z grupy B. Deputat, którego nie można spożytkować inaczej. Dozna zawodu. Zobaczy moje praktyczne podejście do życia. W miejsce egzaltacji modlitwą, rozgrzewanie się mocną wódką miejscowej produkcji. I to w okresie oczekiwania na Boże Narodzenie. Zaraz, jak tylko mój autorytet legnie w gruzach, on także poczuje słabość. Wypije swoją porcję i pójdziemy pracować. Zajmiemy się przemianami energii chemicznej w mechaniczną. Posłużą nam do tego mięśnie. Mózg przełączymy w stan hibernacji”.

- Trudne warunki mogą być tu pewnym usprawiedliwieniem.
- Jeśli jest to konieczne – czy nie to chciałeś dodać?
- A jest?
- Nie można zaprzeczyć, że pracuje się po tym lepiej i wydajniej.
- Łatwiej o wypadek.
- Dwieście pięćdziesiąt mililitrów to porcja, po której drwale nie tracą wigoru ani refleksu. Stają się trochę weselsi. Lekki zamęt w głowie pozbawia stresu.
- Jak to się robi? – zagadnął po dłuższej przerwie.
- Co?
- Czy to się pije duszkiem z blaszanego kubka? – wskazał z obawą w oczach na naczynie o powyginanych brzegach.

„Praktyczne pytanie. Nowicjuszowi trudno się nauczyć tak wielu prostych rzeczy, które z łatwością przychodzą ludziom doświadczonym. Jeśli trochę się zakrzusi, do końca zapomni o rozpamiętywaniu problemów wiary. Picie w adwencie i zabijanie drzew znieczulonych mrozem. Co jest grzechem, a co nie? Dla rozumnego człowieka ani jedno, ani drugie nie powinno mieć znaczenia. Dla kogoś, kto jest odizolowany od realnego życia, obydwie te czynności są przyczyną do zadawania pytań niezbędnych dla naruszenia powłoki, pod którą kryje się nagość. Będę dobrym bliźnim. Powiem, aby pił ostrożnie, małymi łyżkami. Porcję niech podzieli na dwie części. Jeśli tego nie zrobi, może się upić ćwiartką bimbru. Jest słabszy niż miejscowa kobieta”.

Po zapadnięciu zmroku, ze względu na mróz i otaczający leśną polanę marazm, zapasy samogonu i razowego chleba zostały uzupełnione.

* * *

AMERYKANIN czuł się fatalnie. Nadwyreżone mięśnie i ścięgna nie pozwalały o sobie zapomnieć. Na dodatek miał kaca. Stan homeostazy organizmu został zakłócony. Pozostawanie w pozycji leżącej było bardzo niewygodne. Dochodziły do tego nudności i narastająca z każdą minutą migrena. Chodził po izbie, cicho pojękując. Odmówił zjedzenia śniadania. Już na samą myśl o jajecznicy na skwarkach robiło mu się niedobrze.

Słowa wypowiedziane przez Rosjanina sparaliżowały go:

— Za pół godziny wychodzimy do tajgi. Powinieneś coś zjeść.

— Czuję się fatalnie i nigdzie się nie wybieram.

— Wypij surowe jajko, to ci pomoże.

- Nie słyszałeś, co mówiłem? Jestem chory.
- Tylko niedysponowany. To minie.
- Odnoszę wrażenie, że zaraz wyzionę ducha.
- Nie wyglądasz na umarlaka.
- Masz jakieś lekarstwa?
- Jestem lokalnym medykiem i potrafię przeprowadzić kurację większości pospolitych niedomagań.
- Więc mi pomóż.
- Wypij surowe jajko.
- Oszalałeś?
- Zaufaj mojemu doświadczeniu.

Głęboki wdech miał pomóc w spożyciu kurzego jaja. Zatkanął nos i zmusił się do przełknięcia lepkiej substancji. Najbardziej ohydne okazały się, utrzymujące żółtko grube nici zągęszczonego białka oblepiające gardło. Chciał się ich pozbyć, ale nie udało się. To przyspieszyło proces terapeutyczny. Nie przypuszczał, że w żołądku można zgromadzić aż tak dużą ilość brązowego płynu. Kiedy już wyrzucił z siebie wszystko, ksiądz podał mu szklankę wypełnioną w jednej czwartej lekko opalizującą cieczą. Powiedział, że jest to idealny na alkoholową przypadłość medykament. Miał rację. Przybysz dziwił się, że parę łyków bimbru nie spowodowało nawrotu odruchu wymiotnego. Wprost przeciwnie. Dolegliwości znacznie się zmniejszyły. Poczul głód.

„Nie musiałem wiele robić, aby go przekonać. Dzisiaj już przestanie mnie osądzać. Zacznie oceniać siebie. Zauważy sztuczność własnej postawy i automatyzm postępowania. Choć niebawem powróci do starej formy, następny drobny krok jest we właściwym kierunku. Po paru tygodniach będzie w stanie dostrzec to, na czym naprawdę mu zależy. Zobaczy obraz samego siebie. Na razie muszę postępować tak, aby mi zaufał. Jeśli stanie się konieczne, aby popchnąć go do określonego działania, będzie mi łatwiej”.

Po sześciu dniach pracy nadszedł dzień wypoczynku. Postać niedawnego podróżnika upodobniła się do wyglądu tubylców. Ogorzała skóra, twarde, pokryte licznymi odciskami dłonie i chód, przy którym tułów buja się w rytm stawiania kroków. Wszystkie wykonywane przez niego czynności były naśladowaniem tego, co robił gospodarz. Czyszczenie ubrania i obuwia, układanie mokrych rzeczy na piecu, picie gorącej herbaty przed kąpielą, nacieranie ciała oliwą.

Szybko doszedł do wprawy.

Konstanty wyjaśnił gościowi, że jako kapłan jest zobowiązany do odprawiania codziennej mszy świętej. Przed świtem wymyka się do kościoła, aby celebrować Akt Podniesienia. Jak dotąd nie proponował mu uczestnictwa, ale jeśli chce, może czuć się zaproszony. Różnica będzie taka, że zamiast dziesięciu minut, spędzą w świątyni nieco dłużej, co wiąże się z dodatkową modlitwą wiernych.

Propozycja została przyjęta.

W niedzielę, pomimo święta, na terenie parafii nie zdarzyło się nic szczególnego. Budynek z krzyżem nad wejściem odwiedziło dwóch mężczyzn. Mimo, że na lekko zmurszałej desce widniał wypalony napis mówiący o cotygodniowym obrządku, nikt z osady nie pojawił się. Tym razem również starowiny pozostały w domach. Usprawiedliwieniem był spadek temperatury poniżej pięćdziesięciu stopni w skali Celsjusza.

„Niebawem przyjdzie dzień, w którym zaczniesz porównywać swoje obecne życie z tym, co miał w kraju dobrobytu. Przepych supermarketów z kapuśniakiem na skórcie od słoniny i kraszonymi smalcem ziemniakami. Ponownie poczujesz się człowiekiem z lepszego świata. Niedawne, negatywne samooceny zostaną odrzucone. Wzrośnie poziom

niezauważalnej jeszcze pychy. W tym okresie parokrotnie powróci zamysł kontynuacji wyprawy do Jerozolimy i Betlejem. Podniecenie wypali się szybko, jak ognisko zrobione ze słomy”.